

B.K. BORISON

An illustration of a man and a woman embracing. The man is on the left, wearing a brown beanie and a dark blue jacket. The woman is on the right, wearing a white beanie and an orange top. They are holding a branch of holly with red berries. The man is holding a blue coffee cup. The background is a textured teal color.

LOVELIGHT
FARMS #1

Stella & Luka


ENDORFINA



ROZDZIAŁ 1

— Luka! Słuchaj! Słuchaj mnie! — krzyczę w słuchawkę, napierając plecami o oparcie fotela i próbując wygrzebać coś ze stosu dokumentów leżących na szafce. Niestety, wystarczy lekkie muśnięcie, by cała ta sterta zawaliła się i spadła na podłogę białą kaskadą. Rzucam przekleństwo pod nosem. — Przestań choć przez sekundę gadać o pizzy.

Mój rozmówca milknie, ale tylko na chwilę.

— Ale ja właśnie dochodziłem do najlepszego momentu.

Ma na myśli ten, w którym mówi o serze domowej roboty. Nie sędzę, abym mogła w tym momencie cierpliwie wysłuchać jego szczegółowego opisu produkcji mozzarelli. Jako analityk danych Luka jest absurdalnie precyzyjny praktycznie w każdej kwestii. Szczególnie w kwestii sera. Pocieram punkt między brwiami, w którym wzbiera już ból.

— Wiem. Przepraszam, ale naprawdę muszę porozmawiać z tobą na inny temat.

— Coś się stało?

W tle słyszę dźwięk klaksonu, stłumione przekleństwo Luki i miarowy dźwięk kierunkowskazu. Chyba zmienia pas.

— Nie. Wszystko... wszystko w porządku. — Spuszczam wzrok na arkusze z budżetem walające się po całej podłodze i krzywię się odruchowo. — Wszystko dobrze. To znaczy, może być. Ja tylko...

Pewność siebie, z jaką przystępowałam do tej rozmowy, opuszcza mnie i osuwam się w fotelu. Za każdym razem, gdy dzwoniłam do Luki w tym tygodniu lub kiedy Luka dzwonił do mnie, zawsze kończyło się tak samo: tchórzyłam. Tym razem chyba będzie tak samo.

— Słuchaj, muszę kończyć. Mam tu jednego z moich handlowców...

Krzywię się do swojego odbicia na ekranie komputera. Mam wory pod oczami, pełna dolna warga jest jaskrawoczerwona od nieustannego nerwowego przygryzania, a burza ciemnych włosów skręcona jest w kok, który lepiej pasowałby do nawiedzonej wiktoriańskiej lalki. Wyglądam tak samo źle, jak nasze sprawozdanie finansowe.

— Nie masz tam żadnego ze swoich sprzedawców, ale załóżmy, że tak właśnie jest. — W głosie Luki słychać rozbawienie. — Zadzwoń, kiedy skończysz pracę, dobrze? Będziemy mogli w końcu porozmawiać o tym, co już od tygodnia próbujemy ominąć szerokim łukiem.

Moje odbicie krzywi się jeszcze bardziej.

— Niewykluczone.

Śmieje się.

— Pogadamy wkrótce.

Kończę połączenie, z trudem powstrzymując się przed rzuceniem telefonem o ścianę. Luka ma jakiś dziwny dar

wyciągania ze mnie różnych rzeczy, ale ja nie mam ochoty nic mu teraz mówić. Szczerze mówiąc, to nigdy tego nie chcę, obawiając się, co mógłbym odkryć, gdyby zaczęła łączyć wszystkie kropki.

Telefon pika mi w dłoni, sygnalizując nadejście wiadomości. Odkładam go ekranem do dołu na stosie faktur. Pika ponownie, a ja ściskam nasadę nosa.

Przy obecnym stanie naszych finansów szybko kończą mi się możliwości. Myślałam, że prowadzenie plantacji choinek będzie romantyczne.

Marzyłam o świętach wypełnionych magią. Dzieci biegające wśród drzew. Rodzice kradnący sobie pocałunki nad filiżanką gorącej czekolady. Wszystko to, o czym śpiewa się w świątecznych piosenkach. Młode pary pod jemiołą. Kolorowe światełka i duże skarpety na prezenty. Balustrady i poręcze udekorowane na czerwono i biało. Pierniczki. Ciasteczki w kształcie laseczek.

I na początku rzeczywiście było świetnie. Pierwszy sezon był magiczny.

Ale później było już tylko gorzej. Jedna rzecz waliła się po drugiej.

I teraz jestem po uszy zadłużona u dostawcy nawozów, który regularnie co drugi miesiąc zapomina dostarczyć mi moje zamówienie. Mam całe poletko — pastwisko byłoby chyba lepszym określeniem — drzew, które wyglądają tak, jakby wyciągnięto je żywcem z któregoś z filmów Tima Burtona, a rodzinka szopów właśnie przeprowadza akcję wrogiego przejęcia mojej stodoły Świętego Mikołaja.

Krótko mówiąc, w tej chwili nie jest to magiczna zimowa kraina baśni.

To lodowe piekło, z którego nikt nie może uciec. Tak, prawdziwe piekło. Cóż z tego, że zwieńczone piękną czerwoną kokardą.

Czuję się oszukana. Nie tylko przez te wszystkie cudowne filmy o świętach, jakie kiedykolwiek widziałam, lecz także przez poprzedniego właściciela tej farmy. Hank jakoś zapomniał wspomnieć, że przestał płacić swoje rachunki już całe miesiące temu, a ja, jako nowa właścicielka, odziedziczyłam po nim wszystkie długi. Sądziłam, że trafiłam na prawdziwą okazję. Ziemia była w dobrej cenie, a moja głowa wypełniona świetnymi pomysłami na rozwój i marketing. Byłam pewna, że wystarczy włożyć w tę farmę odrobinę miłości, a efekt będzie niesamowity. Teraz jednak czuję się po prostu jak ostatnia idiotka. Tak bardzo pragnęłam stworzyć coś wyjątkowego, że zlekceważyłam kilka poważnych sygnałów ostrzegawczych.

Zaślepiła mnie daglezja*.

Ale mam rozwiązanie. I tylko nie jestem pewna, czy e-mail znajdujący się na samej górze mojej skrzynki odbiorczej jest tym, który chciałabym czytać.

Szczerze mówiąc, w tej chwili sprzedaż moich organów brzmi mniej przerażająco.

— Estelle.

* Daglezja (in. jedlica) – to rodzaj zimozielonych drzew iglastych pochodzących z Ameryki Północnej (przyp. red.).

Aż podskakuję, gdy Beckett wchodzi energicznie do mojego biura. Przedramieniem strącam kawę, na wpół uschniętą paprotkę oraz stosik odświeżaczy powietrza o zapachu sosny. Wszystko spada na podłogę, prosto na pudełka z dokumentami. Mój zniszczony system archiwizacji. Ściągam brwi, podnosząc wzrok na zarządcę mojej farmy.

— Beckett — wzdycham, czując, jak ból głowy, skoncentrowany dotychczas za oczami, rozlewa się na całą czaszkę. Ten facet jest fizycznie niezdolny do wejścia do pokoju w normalny sposób. Spodnie ma ubrudzone po kolana błotem... Zmarszczki na moim czole pogłębiają się — musi wracać z południowej plantacji.

— Co znowu? — pytam.

Przekracza stertę kartonów fantazyjnie udekorowanych paprotką i kawą i sadza swoje sporawe cielsko na fotelu stojącym naprzeciwko mojego biurka. Fotel to okropne i zbyt małe pokryte skórą „coś”, co znalazłam kiedyś na poboczu drogi. Miałam zamiar wymienić obicie na zielony aksamit... ale wtedy pojawiły się szopy. I zawałił się płot przy drodze. Dwa razy.

No więc fotel nie doczekał się liftingu. Odrażająco popękana brązowa skóra z kawałkami gąbki wysypującymi się na podłogę... Jest jak metafora mojego życia.

Beckett spogląda na wyblakłe drzewka rozsypane po dywanie. Wysoko unosi jedną brew.

— Raczysz mi wyjaśnić, po co ci tyle odświeżaczy powietrza?

Cały Beckett. Nie dość, że zapomniał przeprosić, to jeszcze od razu wtrącała się w moje osobiste sprawy. Mój

telefon znów pika. Trzy szybkie sygnały. To albo dysertacja Luki na temat właściwej konsystencji ciasta do pizzy, albo jakiś dostawca przypominający o nieuregulowanym na czas rachunku.

Brew Becketta podnosi się jeszcze wyżej.

— A może bramka numer dwa. Raczysz wyjaśnić, dlaczego ignorujesz Lukę?

Nie znoszę, kiedy Beckett się mądrzy. To niemal zawsze kiepsko się dla mnie kończy. Jest zdecydowanie zbyt bystry, choć przez większość czasu odgrywa rolę przygłupiego farmera. Schylam się i podnoszę z podłogi odświeżacz powietrza, po czym wrzucam go do dolnej szuflady biurka. Tam, gdzie cała reszta. Płatanina zawieszek, stęchłych choinek i nieodwzajemnionych uczuć. Jeden odświeżacz za jeden dzień, w którym Luka był w domu, zaczynając od czasów, gdy mieliśmy po dwadzieścia jeden lat i byliśmy głupi. Zazwyczaj znajduję je tydzień lub dwa po jego wyjeździe — wciśnięte w jakiś zakamarek. Pod śnieżną kulą, pod klawiaturą.

W filtrze do kawy.

— Nie raczę. I wcale go nie unikam — mruczę cicho. Proste i zwięzłe odpowiedzi na oba pytania. Brawo ja. — A może ty raczysz mi wyjaśnić, co takiego odkryłeś dziś rano?

Beckett zdejmuje kapelusz i przesuwając dłoń po swoich ciemnoblonde włosach, pozostawiając na nich smugę lub dwie brudu. Jego skóra, wystawiona na działanie słońca przez długie dni pracy na polu, jest opalona. Rękawy flanelowej koszuli ma podwinięte do łokci, ukazując prawdziwą kaskadę kolorów tatuaży pokrywających jego przedramiona.

Wszystkie kobiety w miasteczku szaleją za nim — pewnie dlatego w ogóle tam nie jeździ.

To może być również powodem, dla którego zmarszczył nos, gdy zasugerowałam, że moglibyśmy spróbować zwiększyć dochody, wydając kalendarz ze zdjęciami zatytułowany *Gorący farmer*.

Jestem pewna, że moje problemy finansowe skończyłyby się, gdy pozwolił mi wprowadzić ten produkt na rynek.

— Nie rozumiem... — mruczy pod nosem, pocierając kciukiem szczękę.

Gdyby Cindy Crowell to widziała, padłaby trupem na miejscu. Cindy pracuje w aptece i czasem udaje, że nie słyszy, jak Beck wchodzi, tylko po to, by zajrzał do jej kantorka i krzyknął jej prosto do ucha. Widziałam nawet, jak pewnego razu ta stara cwaniara udawała, że zatoczyła się na półkę, żeby Beckett musiał rzucić się jej na ratunek i ją podtrzymać. Beznadzieja.

— ...Te drzewa są prawdopodobnie najmniej wymagającymi uprawami, o jakie kiedykolwiek musiałem się troszczyć. — Wydaje mi się, że w tym zdaniu jest zaszyty jakiś żart, ale naprawdę nie mam sił na jego poszukiwanie. Kącki moich ust opadają, a moja mina zaczyna odzwierciedlać jego minę. Dwójka smutnych klaunów. — Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego drzewa na południowej plantacji wyglądają jak... jak...

Przypominam sobie choinki rosnące u podnóża wzgórza. Wyginają się w dziwny sposób i mają delikatną, słabą korę. Cienkie, rzadkie igły.

— Jak mroczna wersja choinki Charliego Browna*?

— Dokładnie tak!

Co ciekawe, istnieje rynek na smutne choinki. Niestety, moje drzewka nie podpadają nawet pod tę kategorię. Są absolutnie niesprzedawalne. Pewnego dnia poszłam tam i przysięgam, że jedno z nich rozpadło się pod ciężarem mojego spojrzenia. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie żadnego z nich w czyimś domu. Nie kupi go nikt, nawet osoba z bardzo ironicznym poczuciem humoru.

Skubię dolną wargę i wykonuję w głowie kilka szybkich rachunków. Na tej plantacji są dziesiątki drzew...

— Damy sobie radę bez nich? — Beckett wygląda na zmartwionego i ma ku temu wszelkie powody. To kolejny cios, na który nie możemy sobie pozwolić.

Jest szefem działu rolniczego i w związku z tym jestem mu winna prawdę. A prawda jest taka, że sięgamy dna. Jakoś jednak nie mogę wycisnąć z siebie tych słów. Musiał wiele poświęcić, rezygnując z poprzedniej pracy na dużej farmie, by pomóc mi w prowadzeniu tej plantacji. Wiem, że liczył na sukces. Wierzył, że spełnię wszystkie moje obietnice.

I cóż, jak dotąd tak było, ale tylko dzięki moim oszczędnościom. Ostatnio musiałam zacisnąć pasa i jadać chińskie zupki, ale żaden z moich pracowników nie odczuł tego w swojej pensji. Nie chcę na nich oszczędzać.

Problem w tym, że długo tak już nie pociągnę. Wkrótce z czegoś trzeba będzie zrezygnować.

* Charlie Brown – fikcyjna postać kilkuletniego chłopca z komiksów *Fistaszki*.

Spoglądam na ekran komputera. Wiadomość wciąż tam jest, na samej górze skrzynki odbiorczej.

— No cóż — zaczynam i zaraz przygryzam wargę. Wóz albo przewóz. Jeśli Beckett chce, abyśmy przetrwali kolejny sezon, to faktycznie jest coś, co może zrobić. Biorę głęboki wdech i przywołuję te resztki odwagi, które zostały mi po rozmowie z Luką. — Nie zechciałbyś być moim chłopakiem?

Na widok jego miny parsknęłabym śmiechem, gdybym nie mówiła tego na poważnie. Wygląda, jakbym poprosiła go o zakopanie trupa w sadzie.

— Czy to... — Kręci się niespokojnie na fotelu, a skóra skrzypi niemiłosiernie. — Stello, ja nie... Ja naprawdę jakoś tego nie widzę... Jesteś dla mnie jak...

Kiedy ostatni raz słyszałam, jak on się jąka? Chyba nigdy. No może wtedy, gdy Betsey Johnson próbowała go obmacywać przy grupie uczniów podczas prelekcji, którą wygłaszał w miejscowej szkole z okazji Święta Drzewa.

— Spokojnie — mówię, natrafiając butem na kolejny odświeżacz powietrza w kształcie choinki. Przyciągam go stopą do siebie. — Nie chodzi mi o chodzenie naprawdę.

Skupiam się na kawałku nasączonej zapachem tekturki, dlatego nie widzę, jak ciało Becketta wypręża się. Widzę tylko jego podskakującą nerwowo nogę. Prycham. Kiedy podnoszę głowę, moje spojrzenie nadziewa się na jego wzrok. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i ma taką minę, jakbym przystawiła mu pistolet do głowy. Dostrzegam ten sam słabo skrywany lęk i zawstydzenie, które pojawiają się na jego twarzy zawsze, gdy musi postawić stopę w miasteczku.

— Stello — powtarza moje imię, głośno przełykając ślinę. — Czy ty... Czy ty się mi oświadczasz?

— Co? O mój Boże, Beck... — Nie mogę powstrzymać się przez wzdrygnięciem. Uwielbiam Becketta, ale... MÓJ BOŻE. — Nie! Rany, czy ty naprawdę tak sobie o mnie myślisz?!

— Co ja sobie myślę?! Chyba raczej, co TY sobie myślisz? — W jego głosie pojawia się ton, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Gestykułuje rękami, najwyraźniej nie wiedząc, co ze sobą zrobić. — To wszystko jest trochę nie na miejscu, Stello!

— Chodziło mi tylko o udawanie mojego chłopaka! — krzyczę, jakby to nie było oczywiste. I jakby to była najzupełniej normalna rzecz, o którą ludzie proszą czasem swoich przyjaciół. I jakby moja nadaktywna wyobraźnia i pół butelki sauvignon blanc nie wpędziły mnie w tę niezręczną sytuację. Klikam wiadomość i wpatruję się w nią, ignorując animowane konfetti, które eksploduje na ekranie komputera. Udaję, że wzrok Becketta nie wierci mi dziury w głowie.

— Zrobiłam pewną rzecz — rzucam, ale nie kontynuuję myśli.

— Pewną rzecz... — powtarza.

— Yhm — mruczę jedynie w odpowiedzi.

— Czy raczysz mi zdradzić, co to jest ta pewna rzecz?

Nie.

— Ja...

I wtedy, jakby ściągnięta moimi myślami, do biura na pa-luszkach wchodzi Layla, niosąc przed sobą tacę. W powie-trzu unosi się słodka woń. Wyczuwam cynamon, suszoną zurawinę i nutę wanilii.

Chleb z cukinii!

W tym momencie Layla jest niczym anioł zstępujący z niebios. Chlebek z cukinii jest jedyną rzeczą, która za-wsze — ZAWSZE — jest w stanie odwrócić uwagę Becketta.

Mężczyzna wydaje z siebie dźwięk na granicy przyzwo-itości, a ja natychmiast wpadam na pomysł, by to nagrać i umieścić na OnlyFans. To mogłoby przynieść trochę do-larów do kasy: *Gorący farmer je chlebek z cukinii*. Śmieję się w duchu. Beckett natychmiast wyciąga rękę w stronę tacy, ale Layla uderza go w knykcie drewnianą łyżką, którą ma-gicznie skądś wyciąga... Z tylnej kieszeni? Delikatnie kła-dzie tacę na skraju mojego biurka. Spoglądam na ciasto i mało brakuje, żebym ja również nie uroniła kilku łez szczę-ścia. Dodała wiórki czekoladowe.

— Zrobiłam coś dla ciebie, szefowo.

Łyżką trąca ciasto, zachęcająco podsuwając je w moją stronę, po czym podpira podbródek na jednej dłoni.

Layla jest całkowitym przeciwieństwem Becketta. On uosabia surowego odludka i ma wdzięk papierowej torby na zakupy, natomiast ona samą swoją obecnością rozjaśnia każde pomieszczenie, emanując południową gościnnością i żywym poczuciem humoru. Robi wrażenie swoimi krysta-licznie czystymi orzechowymi oczami i równo przyciętymi ciemnymi włosami. Jest uprzejma do granic możliwości

i robi najlepszą gorącą czekoladę w całej okolicy. Gdy tylko spróbowałam jej ciasteczek z kawałkami czekolady na festynie wypieków w remizie strażackiej, wiedziałam, że chcę, aby dla mnie pracowała i prowadziła gastronomiczną część mojego biznesu. Jest trzecim członkiem naszego skromnego trio i jeśli przynosi mi słodczyce, to znaczy, że czegoś ode mnie chce.

Pewnie czegoś, na co w tej chwili mnie nie stać.

Wsuwam kawałek do ust, zanim zdąży mnie o to poprosić. Chcę porozkoszować się przez chwilę choć jedną rzeczą, zanim będę zmuszona jej odmówić.

Mój telefon najwyraźniej również chce skorzystać z tej krótkiej przerwy, brzęcząc i podskakując wesoło na biurku. Layla zerka w jego stronę, wymienia spojrzenie z Beckettem, a na koniec wbija wzrok we mnie.

— Dlaczego ignorujesz Lukę?

— Ja nie... — Oprócz słów z moich ust wypadają złota-
we, miękkie okruszki przepyszного chlebka. — Nie ignoruję Luki. — Brzmi to bardziej jak „niegnoluki”.

Layla mruczy coś pod nosem i zmienia temat.

— Tak sobie myślałam... — zaczyna.

Bingo.

— Gdybyśmy w kuchni postawili jeszcze jeden piec, moglibyśmy niemal podwoić naszą wydajność. Może nawet zaczęlibyśmy przygotowywać zestawy piknikowe, które ludzie mogliby zabierać ze sobą na wycieczki po plantacji.

Beckett krzyżuje ramiona na piersi, a ja kontynuuję przeważanie ogromnego kęsa. Chwilowo ignorując Laylę, patrzę mu prosto w oczy.

— Jest jeszcze ciepłe — mówię.

Wydaje z siebie pomruk.

Layla milknie i przewraca oczami. Kroi kawałek chlebka i podaje mu go.

— Jeśli ludzie zaczną zostawiać po sobie śmieci, to ja będę miał z tym problem — zauważa Beckett. Wkłada sobie do ust od razu cały kawałek, po czym opada z powrotem na fotel. Skóra znów skrzypi złowieszczo. Dźwięk nadchodzącej porażki. Ja też jestem bliska wydania z siebie podobnego odgłosu.

— Podoba mi się ten pomysł, ale możliwe, że na razie będziemy musieli się wstrzymać z większymi zakupami.

Myślę o tej żałości niskiej kwocie na moim koncie oszczędnościowym. W zeszłym kwartale ledwo udało mi się pokryć wszystkie koszty operacyjne.

Twarz Layli tężeje. Wyciąga dłoń i lekko dotyka moich palców. Nie zasługuję na ten gest, zważywszy, że nie jestem wobec niej całkowicie szczerą na temat powagi naszej sytuacji.

— Ale idzie nam dobrze, prawda?

— Idzie nam... — Gorączkowo szukam słowa, którym mogłabym zastąpić słowo „fatalnie”. — ...znośnie.

Beckett w końcu przełyka swój ogromny kęs jedzenia i znów podrzuca nogą.

— Właśnie o tym rozmawialiśmy. Stella mi się oświadczyła.

— Tak? To ciekawe. Nie wiem jednak, co to ma wspólnego ze stanem naszych finansów.

— Tak, ja też tego nie rozumiem. Ale usłyszałem od niej to samo, kiedy zadałem to samo pytanie.

— Czy mi też się oświadczy?

Przewracam oczami i postanawiam pozostawić to bez komentarza. W milczeniu odwracam ekran komputera w ich stronę, żeby oboje mogli podziwiać animowane wystrzały konfetti. Beckett tylko zerka, ale Layla wyrzuca obie ręce w górę i piszczy tak głośno, że aż się krzywię.

— Naprawdę? — Przytrzymuje się biurka i przysuwa tak blisko, że nos niemal przyciska do ekranu. — Zostałaś finalistką tego konkursu Evelyn St. James?

Beckett szklanym spojrzeniem, jakby po narkotykach, wpatruje się w chlebek z cukinii, który stoi niebezpiecznie blisko krawędzi biurka.

— Aspiryn Saint?

Layla wali go w dłoń, nawet na niego nie patrząc.

— Evelyn St. James. To influencerka.

Beckett robi grymas.

— To coś związanego z polityką?

— Jak ty w ogóle znalazłeś się w tym stuleciu? To prawdziwa gwiazda mediów społecznościowych. Zajmuje się turystyką. Ma swój kanał poświęcony podróżowaniu.

Odczuwam przypływ dumy. Evelyn St. James faktycznie jest BARDZO popularna. Wzmianka na jej kanale jest warta tysiące dolarów wyłożonych na reklamę gdzie indziej — tych tysięcy, których nigdy nie mieliśmy. Pozwoliłaby naszej

farmie stać się miejscem, do którego ludzie będą chcieli przyjeżdżać nawet z daleka, a nie być tylko przystankiem po drodze dla miejscowych. A sto tysięcy dolarów nagrody dla zwycięzcy jej konkursu pozwoliłoby nam utrzymać się na powierzchni co najmniej przez rok.

Szkoda tylko, że trochę nakłamałam w moim wniosku.

— Ale jaki to ma związek z oświadczeniami?

— No naprawdę... Ja się nie oświadczyłam Beckettowi.

Odwracam monitor z powrotem w swoją stronę i minimalizuję wiadomość. Stukam palcami po ustach i przypominam sobie wieczór, przez który znalazłam się teraz w tej sytuacji. Chwilę wcześniej rozmawiałam przez telefon z Luką i byłam trochę oszołomiona białym winem oraz sposobem, w jaki marszczyła się skóra w kąciakach jego oczu. Luka próbował opowiedzieć mi jakiś głupi dowcip o kanapkach z szynką, ale tak się śmiał, że nie mógł go dokończyć. W sumie to do dzisiaj nie usłyszałam puenty.

— W aplikacji do konkursu napisałam, że prowadzę tę farmę razem z moim chłopakiem — mamroczę pod nosem.

Czuję, jak na policzkach rozlewa się rumieniec. Mogłabym się założyć, że moja twarz jest teraz tak czerwona, jak drzwi do stodoły.

— Wydawało mi się, że to będzie bardziej romantyczne niż tekst w stylu „smutna, samotna kobieta, która od siedemnastu miesięcy nie była na żadnej randce”.

— Mam nadzieję, że przynajmniej czasem uprawiasz jakiś niezobowiązujący seks.

— A do czego była ci potrzebna ta wzmianka o chłopaku?

Layla i Beckett wypowiadają swoje kwestie jednocześnie, choć trzeba uczciwie przyznać, że Layla robi to głośniej i agresywniej — aż podnosi ją z fotela, gdy ostrym tonem rzuca tę swoją uwagę łóżkową. Opada z powrotem na siedzenie i chwilę siedzi z otwartymi ustami, przyciskając dłoń do klatki piersiowej w mocno dramatycznym geście.

— Rany boskie, nic dziwnego, że jesteś taka... — rzuca, wskazując na mnie drugą ręką uzbrojoną w łyżkę.

Walczę, by nie zarumienić się jeszcze bardziej.

Odcień mojej skóry prawdopodobnie ociera się już o karmazyn.

— ... taka, jaka jesteś.

Poprawiam się na moim fotelu i kontynuuję. Naprawdę nie muszę opowiadać Layli o komplikacjach, jakie wynikają z umawiania się z facetami w tak małym miasteczku. Nie mówiąc już o jakichś spotkaniach bez zobowiązań.

— Przyjeżdża na pięć dni, by zrobić tu rekonesans i przeprowadzić z nami osobiste wywiady. Chce mieć materiał, który następnie przedstawi na swoich kontaktach w mediach społecznościowych. A z tym chłopakiem... Sama nie wiem. Chyba myślałam, że w ten sposób to miejsce wyda się jej bardziej romantyczne. Ona lubi takie rzeczy.

Beckett podkrađa kolejny kawałek chlebka. Bez skrępowania wykorzystuje szok Layli spowodowany moim celibatem.

— Cóż, to cholernie głupio.

Rzucam mu ostre spojrzenie.

— Dziękuję ci, Beckett. Twoja uwaga jest bardzo pomocna.

— Mówię serio — podejmuje, przełamując kawałek ciasta na pół. — Przecież to ty sprawiłaś, że to miejsce jest niesamowite. Tylko ty. Zrobiłaś to wszystko sama. Powinnaś być z tego dumna. Dodanie do tej historii chłopaka w niczym się jej nie przysłuży.

Mrugam, wpatrując się w niego.

— Czasami zapominam, że masz trzy siostry.

Wzrusza ramionami.

— To takie moje pięć groszy.

— Na pewno nie chcesz przez tydzień udawać, że nie możesz się mi oprzeć?

Layla kręci głową. Najwyraźniej w końcu otrząsnęła się ze swojego transu.

— Zły pomysł. Widziałaś, żeby on kiedykolwiek kłamał? Jest w tym okropny. Za każdym razem, gdy jedzie do miasta po zakupy, zmienia się w wiejskiego głupka odpowiadającego monosylabami.

To fakt. Już kilka razy musiałam odbierać z mięsnego jego zamówienia. Jestem pewna, że podjął pracę na farmie tylko po to, żeby rzadziej musieć zaglądać do sklepów. Beckett niespecjalnie przepada za kontaktami międzyludzkimi, a już szczególnie nie znosi prób flirtowania podejmowanych przez żeńską część populacji miasteczka. Czasem mam wrażenie, że Layla i ja jesteśmy jedynymi kobietami odpornymi na jego urok, ale przypuszczam, że to normalne, gdy każdego dnia widzisz mężczyznę mrużącego przez pół dnia różne nieprzyzwoite wyrazy do drzew.

I kiedy twoje serce już od prawie dziesięciu lat tęskni za inną osobą.

Biorę kolejny kawałek chleba i zaczynam go skubać, rozważając moje opcje. Inne niż Luka. Mogłabym poprosić Jessego, właściciela jedyne go baru w naszym miasteczku. On jednak zapewne pomyślałby, że chodzi mi o coś więcej, a naprawdę nie mam ani czasu, ani siły na udawane zrywanie naszego udawanego związku. Może mogłabym skorzystać z usług profesjonalistów? No wiecie, takich panów do towarzystwa. To jest myśl. Przecież chyba po to takie usługi istnieją, prawda? Są dla ludzi, którzy potrzebują... eee... towarzystwa?

Przyciskam palce do policzków, zapominając, że w jednej dłoni wciąż trzymam kawałek ciasta. Jest jeszcze jedno, najbardziej oczywiste rozwiązanie. Problem w tym, że właśnie jego boję się najbardziej.

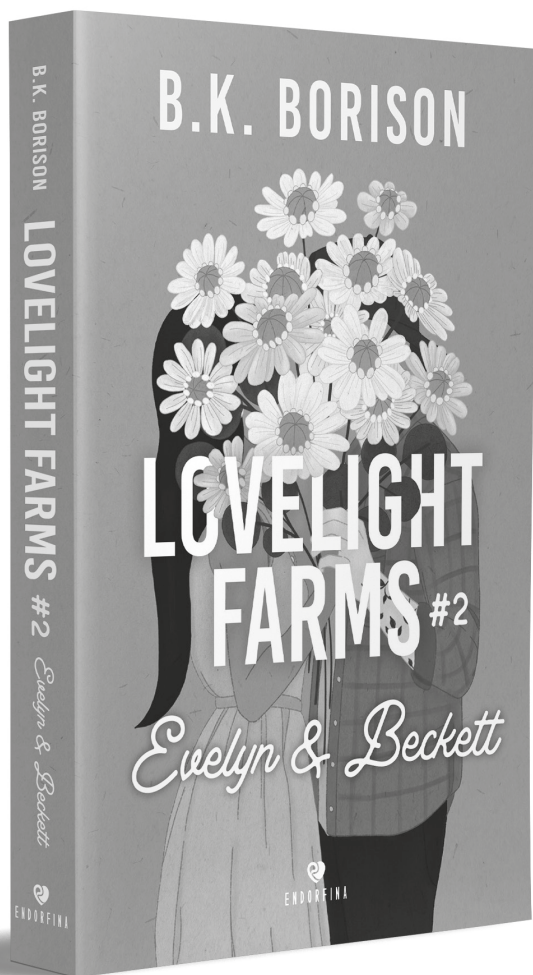
— Oho — mruczy Beckett, a ja potrzebuję całej siły woli, by nie cisnąć mu ciasta prosto w twarz. — Właśnie to do niej dotarło.

— Naprawdę nie wiem, czego się boisz. To proste rozwiązanie. On zgodzi się bez chwili wahania.

Zerkam między palcami na Laylę. Na jej twarzy gości ten jej mały uśmiezek, jakby była z siebie naprawdę bardzo zadowolona. Brakuje jej jeszcze monokla i bezwłosego kota, którego mogłaby głaskać. Jak to możliwe, że kiedyś uważałam ją za słodką kobietkę? Jest ostra jak papryczka chili.

— Poproś Lukę.

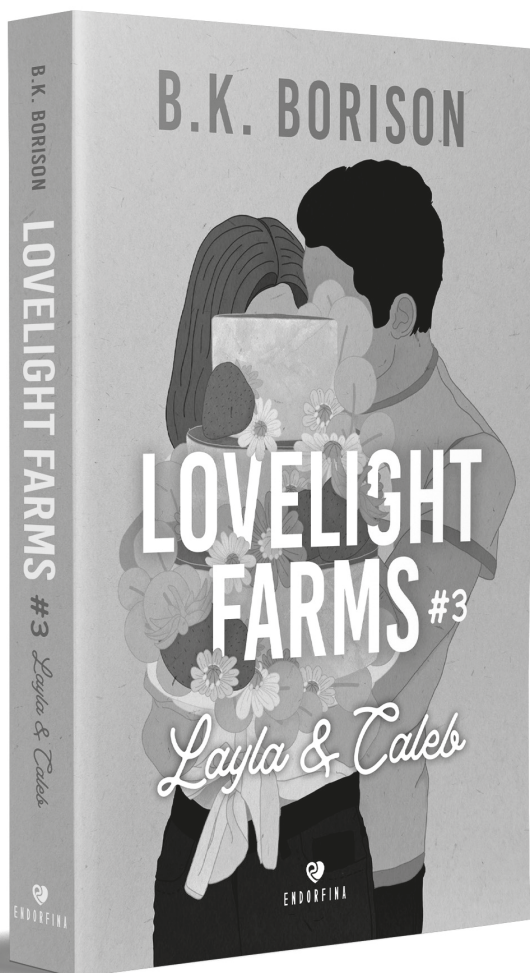
INNE KSIĄŻKI AUTORSTWA
B.K. BORISON



Więcej na: wydawnictwoendorfina.pl


ENDORFINA

INNE KSIĄŻKI AUTORSTWA
B.K. BORISON



Więcej na: wydawnictwoendorfina.pl


ENDORFINA

Pastwisko pełne martwych drzew. Wrogie przejęcie stodoły Świętego Mikołaja przez rodzinę szopów. I zaginiona w niewyjaśnionych okolicznościach przesyłka. Bożonarodzeniowa Farma nie jest magicznym miejscem, które wymarzyła sobie Stella Bloom.

Aby ratować swój biznes, Stella decyduje się na udział w konkursie organizowanym przez popularną instagramerkę Evelyn St. James. Ma nadzieję, że dzięki jej zasięgom i nagrodzie w wysokości stu tysięcy dolarów Stelli uda się wyjść z finansowego dołka.

Jest tylko jeden problem: aby zaprezentować swoją farmę jako idealny przystanek podczas romantycznego wypadu, Stella skłamała, że prowadzi ją razem ze swoim chłopakiem. Tylko że żaden chłopak nie istnieje.

Luka Peters chciał po prostu odwiedzić swoją najlepszą przyjaciółkę i napić się gorącej czekolady, a został wmanewrowany w związek i stał się współwłaścicielem farmy choinek. Wygląda jednak na to, że funkcja fikcyjnego chłopaka może stać się najlepszym prezentem, jaki mógłby sobie wymarzyć.

„Lovelight Farms Stella&Luka” to pierwsza część serii „Lovelight Farms”, której bohaterami są właściciele niezwykłej farmy.



ENDORFINA

ISBN 978-83-8231-341-3



9 788382 313413

MT2318E

Cena: 54,90 zł



/WydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoendorfina